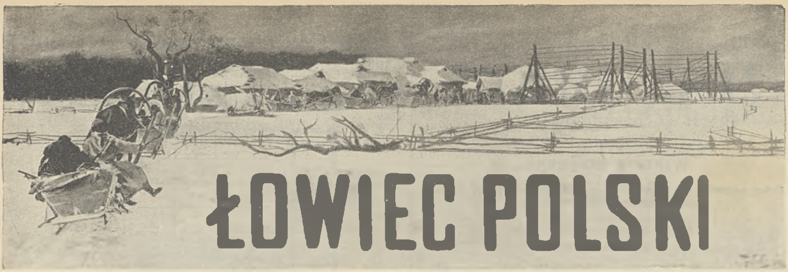


ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 128.

№ 14. | Warszawa, 3 (16) lipca 1904 r. | Rok VI.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.

WYSTAWA PSÓW.



Mon Beguin,

setter angielski (medal złoty Tow. praw. myśl. oraz żeton złoty Ryskiego Towarzystwa). Własność p. Oskara Saengera.

ZAJĄC POSPOLITY

(Lepus timidus)

przez

Wiktora Stephana.

(Praca, nagrodzona I-ą nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myśliwstwa).

ROZDZIAŁ IV.

Polowanie.—Terminy polowania. — Polowanie na wychodnego. —Polowanie z naganką.—Polowanie z wyżłem.— Polowanie z psami gończemi.—Polowanie z chartami.— Zachowanie się zająca po strzale.—Sposób obchodzenia się z zającem ubitym.

O polowaniu, rzeczy znanej i jak świat, starej, trudno napisać coś nowego, pragnąłbym zatem w tym rozdziale przedstawić polowanie jedynie jako środek pomocniczy hodowli.

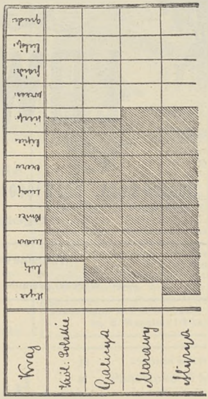
Wogóle dzieli się polowanie na dwa działy: na grubą i na drobną zwierzynę; niemcy mają na to specyalne słowa, które myśl tę określają dokładnie: *Hoch und Niederjagd.*

Zając stanowi główną podstawę polowań na zwierza drobnego.

Minęły już dosyć dawno czasy, w których kto mógł i chciał, użytkował ze zwierzyny bez ograniczenia. Państwa cywilizowane w uznaniu dobrej sprawy ujęły się za tępioną wszelkiemi sposobami zwierzyną i dziś używa ona słusznie należnej ochrony, przynajmniej w czasie rozmnażania. Czas ochrony zajęcy w kilku krajach umieściłem poniżej tabelarycznie, w celu wykazania, że w naszym kraju nie mają takiej opieki, jakiej użyczają im inne państwa, a przecież ze względu na nasze szczególnie długie i ładne jesienie zasługiwałyby na ochronę, przynajmniej jeszcze w miesiącu wrześniu.

Żądanie to jest zupełnie słuszne, u nas bowiem rodzą się młode zające przez cały miesiąc wrzesień, a bardzo często nawet i w październiku.

Myśliwy, któremu dobro zwierzyny leży na sercu, nie będzie u nas polował na zające ani w lutym, ani we wrześniu. Ustawa zatem może być ostrzejszą, jest bowiem hamulcem jedynie dla samozwańców, którzy się pod tytuł myśliwego podszywają.



(Pole czarne oznacza czas ochrony).

Charakter i sposób życia zająca wytworzył następujące metody polowań:

1) na wychodnego,
2) z naganką,
3) z wyżłem,
4) z psami gończemi,
5) z chartami.

Sposób polowania, zależy wprawdzie mniej więcej od ilości zwierzyny i od terenu, należałoby się jednak tak kierować, aby wybór padł na metodę, która zwierzynę najmniej niepokoi. Że tak nie jest, wynika

---

TRZY WILKI ODRAZU!

(Humoreska).

Podług oryginału niemieckiego opracował

J. K—z.

Gdy jeszcze byłem młody!

Niejeden z szanownych czytelników westchnie na wspomnienie o tem, „gdy był jeszcze młody“. Tak, wówczas; ale to już tak dawno, i to nigdy nie powróci...

A więc, kiedy byłem młody, tak około dwudziestki, miałem oczywiście także narzeczoną i urząd nauczyciela wiejskiego. Młodość, miłość i nauczycielstwo na wsi mają wiele z sobą wspólnego, gdyż im mniejszą się ma pensyę, tem większą posiada się tęsknotę za duszą współczującą.

Narzeczona moja mieszkała o godzinę mniej więcej drogi od mojej wioski. Nie mogłem więc co wieczór, jak tego pragnąłem gorąco, mówić ukochanej o miłości bez granic. Ciężka służba, trzy godziny wykładów przed obiadem, a po obiedzie gra w kręgle letnią porą, zimową zaś ślizgawka, pozwoliły mi zaledwie raz na dwa tygodnie odwiedzać narzeczoną. Wtedy za to śpieszyłem co sił, na skrzydłach tęsknoty do mojej wybranej.

Była to niebiańska dziewczyna, pełna uległości i kochania. Niestety, potem ożenił się z nią kto inny, lecz tymczasowo była moją. A jak uprzejmie i łaskawie mnie przyjmowała! Miałem zawsze uczucie takie, jak gdyby istniały jeszcze czasy raju, Adama i Ewy. Albowiem miałem tam zawsze poddostatkiem i jajek, i kiełbasy, i szynki. Ach, czemuż wówczas częściej do niej nie chodziłem! Później musiałem z niemą rezygnacyą zaglądać do własnej śpiżarni; wtedy też wzdychałem i myślałem sobie: „Ach, gdy jeszcze byłem młody!“

Pewnego wieczora siedziałem u niej znowu. Godziny toczyły się szybko, jak koła u wozu. Wyszedłem stamtąd w błogiem usposobieniu. Nie zapomnę nigdy tego wieczora. Księżyc był w pełni! A przecież to należy do błogiej nocy miłosnej.

Czy to wskutek miłości mej narzeczonej, czy z powodu jaj, szynki i t. d., czy też pełni księżyca, dość, iż zdawało mi się, że osiągnąłem szczyt szczęśliwości.

Gdym opuścił wieś samotną, było już po północy. Droga prowadziła mnie w połowie przez las królewski. Cisza grobowa opanowała mnie zewsząd. Chłodny wiaterek studził moje czoło gorące. Księżyc płynął w pełnym blasku swego majestatu po niebie lazurowem.

stąd, iż polujemy nietylko dla korzyści, ale przeważnie dla przyjemności.

Polowanie na wychodnego nie niepokoi zwierzyny, dlatego też ten sposób z punktu widzenia hodowli zaleca się bardzo. Zazwyczaj jednak z przyczyn łatwo zrozumiałych, wykonywany bywa na małą skalę.

Znając ścieżki, któremi zając na żer wychodzi, żadnych większych przygotowań nie potrzeba, jak ubrać się dobrze i być na stanowisku chwilę przed zachodem, lub przed wschodem słońca. Zwykle jednak staje się na stanowisku tylko wieczorem, t. j. w czasie, kiedy zając na żer wychodzi. Dobrze jest wiedzieć, że w listopadzie i grudniu wychodzi zając na żer najpóźniej.

Ponieważ zające, upolowane na wychodnego, użytkuje się zazwyczaj na potrzeby własne, a młody zając jest znacznie smaczniejszy, więc dodaję, po czem można młodego od starego odróżnić.

Młody zając, wychodząc na żer, jest więcej ruchliwy; stary zazwyczaj, dłuższy czas, bo 5 do 10 minut i dłużej nawet siedzi nieruchomie, a następnie dopiero rusza na żerowisko. Przy tym sposobie polowania nastręcza się najwięcej sposobności do regulowania stosunku samców i samic, więc gdzie tego zachodzi potrzeba, należy pamiętać, że samica, jeżeli jaki taki żer znachodzi pod lasem, to zaraz żeruje, mając przytem uszy zazwyczaj na boki opuszczone i ruchy powolne. Natomiast samiec wydaje się przy zmroku wskutek swej, więcej czerwonej szerści, ciemniejszy, ruchy ma żwawsze i wyszedłszy z lasu po małej chwilce pomyka szybko na znaczniejszą odległość i tam dopiero żeruje. Następnie trzeba pamiętać, że samica, ledwo się słońce schowa, na żer wyrusza i prawie zawsze rychlej, niż samiec. Okoliczność tę tłómaczy się większą potrzebą żeru ze względu na wycieńczenie, spowodowane karmieniem młodych.

Strzały powinny być pewne, poszukiwanie bowiem postrzelonej zwierzyny jest, z powodu zapadającej nocy, bardzo utrudnione. Im większy śnieg i mróz, tem zające wcześniej na żer wychodzą.

(C. d. n.)

PUMA, CZYLI KUGUAR.

(Felis concolor).

Angielski naturalista, Hudson, który trzydzieści lat życia, poczynając od wczesnego dzieciństwa, przebył w południowej Ameryce, napisał, oprócz specyalnych studyów ornitologicznych, bardzo ciekawą książkę p. t. *Naturalista w La-Placie*. W książce tej podaje on charakterystykę wybitnych gatunków zwierząt, ptaków, płazów i owadów, zamieszkujących południowe pampasy. Szczególniej interesującemi są wiadomości o charakterze i obyczajach pumy, które w tłomaczeniu podajemy czytelnikom „Łowca Polskiego".

Puma jakoś szczególnie nie miała szczęścia do biografów. Dawniej zdarzało się często, że autorowie, przejęci jakiemiś oderwanemi i do tego mocno przesadzonemi faktami, przypisywali swym ulubieńcom ze świata zwierzęcego różne świetne przymioty. Tak naprzykład przedstawiali lwa starego świata, jako najśmielszego i najbardziej wspaniałomyślnego ze wszystkich czworonogów, jako Bayarda między zwierzętami. Taka reputacya nie może zadawalniać w naszych czasach, prozaicznych i pełnych niedowiarstwa. Inaczej zupełnie przyrodnicza literatura obeszła się z pumą. Choć wszystkim, znającym blizko obyczaje tego lwa nowego świata, dobrze wiadomo, ze odznacza się on niezwykłą śmiałością i odwagą, jednakże w dziełach z historyi naturalnej przedstawiają go stale, jako najbardziej tchórzliwego ze wszystkich wielkich drapieżników. Puma nigdy nie napada na człowieka i Azara ma zupełną racyę, utrzymując, że puma nigdy nie wyrządza krzywdy nietylko ludziom dorosłym, ale i dzieciom, i to nawet wtedy, kiedy ich zdyba śpiącemi. Ale nie dość tego: puma nawet nie broni się przed atakującym ją człowiekiem. Ztąd bardzo łatwo wyprowadzić wniosek, że zwierzę to z powodu tchórzostwa nietylko że nie napada na ludzi, ale nawet nie ośmiela się bronić. Taki jednak wniosek byłby mylny, gdyż najbardziej nawet bojaźliwe drapieżniki, jak np. psy i hyeny, zniewolone głodem, napadają na bezbron-

---

Mogłem się tylko zachwycać widokiem górnym, gdyż w dole lekka mgła zasnuła wszystko tajemniczą tkanką fantastyczną. A ja byłem młody, szczęśliwy przez swą miłość, więc wyobrażałem sobie jeszcze, że jestem także odważny, bohaterski, boć sam w nocy wędruję po takim ciemnym i tajemniczym lesie. Co mi się zresztą przytrafić może? Nic. Chciałbym widzieś tego, coby się ośmielił zaczepić mnie po drodze! Jak Leonidas, będę się bronił, a pozatem byłem młody, miałem dobre kończyny przy ciele, myślałem więc, że w potrzebie „dam nogę". W ten sposób dodałem sobie odwagi i obrony, chociaż to zupełnie było zbyteczne wobec tego, że okolica była najspokojniejsza w świecie.

Ale ja byłem młody, pełen dumy, oczekujący wszystkiego, co może spotkać człowieka, który wędruje sam jeden o północy w ciszy tajemniczej, przy blasku księżyca. Las zarysowywał się przedemną coraz wyraźniej. Mocno ścisnąłem swój świdlak (laskę ze świdwy) i wymachywałem nim w powietrzu z całych sił po bohatersku. Uląkłem się prawie własnej odwagi.

Gdy mnie już ogarnęła całego cisza leśna, a blask księżyca nie oświecał mnie jaskrawo, mgła zaś stała się jeszcze gęstszą, odwaga moja ustąpiła przed zdrowym, chłodnym rozsądkiem. Wolno kroczyłem po ziemi darniowej. Po co uderzać mocno stopami? Kroki moje mogłyby wzbudzić coś, co mnie przeszkodzi w drodze.

Ach głupstwo, ktoby śmiał! Ach, Boże kochany, ach kochana Maryo — tak się nazywała moja narzeczona — ach, ach! Dalej ani rusz ze strachu. Stopy moje były, jakby przytwierdzone do ziemi, gdyż—dotychczas nie mam odwagi wspomnieć o tej chwili — przedemną drogę przecinają w poprzek przez wygony trzy olbrzymie zwierzęta.

W szkole wykładałem także nauki przyrodnicze; odrazu przeto poznałem, że mam przed sobą trzy wilki, które wyszły na połów nocny. Niewątpliwie, przecież właśnie leśniczy opowiadał o licznem znikaniu różnej zwierzyny. To wilki ją pożarły! Wielki Boże, co teraz będzie? Tu nie pomoże wołanie, ani ucieczka. Zostaje tylko spokojna, chłodna rozwaga. Żadna z bestyj jeszcze mnie nie zwęszyła. Ostatnia z nich przystanęła na brzegu gąszczu i wietrzyła, unosząc nos do góry, potem jednak znikła w ciemności.

Przez kilka sekund stałem, jak spętany. W następnej chwili zwyciężył zdrowy rozsądek. Jak strzała, pomknąłem... w górę, na koronę sosny o szerokich gałęziach. Tak, teraz wszystko mi jedno, co się stanie; wdrapać się na drzewo zwierzyna nie potrafi. O tem wiedziałem ze swych studyów w dziedzinie nauk przyrodniczych.

Pierwsze pół godziny przeszło jakoś. Siedlisko miałem nawet względnie wygodne. Lecz na dłuższy czas... Był wtedy październik; dzień nastanie dopiero o jakiej godzinie szóstej rano. Za długo czekać. Zrobiło mi się przykro, niesłychanie przykro. Musiałem zdjąć

nego lub śpiącego człowieka i wogóle nawet najmniejsze i najsłabsze zwierzęta, doprowadzone do rozpaczy, usiłują bronić się. W takich razach, jak mówi przysłowie gauchosów: „nawet pancernik broni się“. Zresztą inne, dobrze znane fakty nie zgadzają się z podobnym wnioskiem. Jeżeli względem człowieka puma okazuje się zupełnie bierną, jest ona bardzo śmiałą względem zwierząt i przekłada zawsze wielką zdobycz nad drobną. Zabija ona pekari, tapira, amerykańskiego strusia, jelenia, guanako i inne zwierzęta, pełne sił, umiejące się bronić lub bystre w biegu. Znajdowane w Patagonii szkielety guanako wszystkie mają skręcone kręgi szyjowe, co dowodzi, że były uśmiercone przez pumę. A jednak wszyscy myśliwi, którzy polowali na guanako czy to w bezpłodnych stepach, czy na podgórzach, wiedzą dobrze, jakie to są ostrożne, czujne i bystre zwierzęta. Pewnego razu spędziłem kilka tygodni z oddziałem straży pogranicznej w miejscowości bardzo obfitującej w pumy, i codziennie znajdowałem przynajmniej sześć jeleni, świeżo zamordowanych i zawsze ze strąconą szyją. W miejscowościach, w których zdobycz jest rzadką i trzeba ją z trudem zdobywać, puma, po nasyceniu głodu, chowa zabite zwierzę, pokrywając je starannie trawą i chrustem. W tamtej okolicy przeciwnie, drapieżnik zjadał tylko część piersi, a resztę nietkniętą i nie zakrytą, zostawiał na pastwę lisom i sępom; widocznie zadawalniał się głównie wyssaną krwią. To nasuwa mi myśl, że pampaska puma odgrywa względem czworonogów taką rolę, jak sokół wędrowny (*Falco peregrinus*) względem ptaków; ten ostatni napada także na ptaki stosunkowo duże i zakosztowawszy mięsa z piersi i karku, porzuca resztę innym, mniej szlachetnym gatunkom ptaków drapieżnych.

W okręgach pasterskich puma stanowi istotną plagę dla dużych, domowych zwierząt, przekładając jednak stanowczo mięso końskie nad wszelkie inne. Pierwszy zwrócił na to uwagę jeszcze przed stu pięćdziesięciu laty, naturalista Molina, w historyi naturalnej Chili. Mnie także opowiadano, że w Patagonii hodowla koni jest bardzo trudną, gdyż większa część źrebiąt staje się pastwą pum. Pewien krajowiec opisał mi następujący wypadek: kiedy pędził raz swe stado koni przez miejscowość gęsto zarosłą krzakami, na źrebaka, biegnącego z tyłu stada, rzuciła się puma i uśmierciła go w odległości zaledwie kilku kroków od jadącego konno właściciela stada. Puma wskoczyła na grzbiet źrebaka, jedną łapą chwyciła go za piersi, a drugą za głowę i raptownym obrotem skręciła mu kark. Źrebak padł, jak rażony kulą, i podług obrazowego wyrażenia opowiadającego, był martwy, zanim się przewrócił.

Naturalistów dziwiła ta okoliczność, że liczba zdziczałych koni, niegdyś tak pospolitych w Ameryce, zaczęła stopniowo zmniejszać się, pomimo, że ląd ten jest dla nich tak odpowiedni i że teraz pod ochroną człowieka, znowu bardzo szybko się rozmnażają. Faktem jest niezaprzeczonym, że w miejscowościach, obfitujących w pumy, koniom bardzo trudno jest egzystować. Niegdyś, w wielu miejscowościach, konie, żyjąc zupełnie dziko, rozmnażały się w olbrzymiej ilości, ale jestem pewien, że to mogło dziać się tylko w okolicach, w których rzadko spotyka się pumy. Podług moich osobistych obserwacyj, w niezaludnionych pampasach jest bardzo mało dzikich koni i o ile wiadomo, to samo można powiedzieć o Patagonii.

(*C. d. n.*).

W SPRAWIE SÓW.

(*Dokończenie*).

Nieodżałowanej pamięci Władysław Taczanowski, który połowę swego użytecznego żywota strawił na obserwowaniu obyczajów ptaków, w ten sposób wyraża się o puszczyku (*Syrnium aluco*):

„Główne jego pożywienie stanowią myszy, szczury i inne drobne ssące, które łowi w budynkach, po lasach i wszelkich zaroślach; wybiera także niemało drobnych ptaków z nocnych kryjówek, a nie zdarzyło mi się nigdy widzieć, aby napastował większe ptaki, jak np. kuropatwy lub gołębie; co stwierdzać zdaje się ta okoliczność, *że często w gołębnikach przesiadując, nie tyka swojskich gołębi*“. Ten sam autor tak się wyraża dalej w swem doskonałem dziele: „Ptaki

---

z siebie pas i przywiązać się nim mocno do drzewa, obawiając się, że ze strachu i przykrego położenia zemdleję i spadnę na ziemię. Muszę dodać, że na kupno szelek nie mogłem się jeszcze zdobyć, bo szczęście w grze nie sprzyjało mi tak, jak w miłości, a moja pensya była istotnie za szczupła na takie zbytki.

Wzrok mój był ustawicznie skierowany na miejsce, gdzie widziałem ukrywające się zwierzęta drapieżne. Czy to rzeczywistość, czy fantazya? Ujrzałem paszczękę otwartą! I widziałem „oczy zielonawe“, słyszałem „klaskanie języka“. Ze struchlałej piersi wyrwał mi się krzyk przerażenia. W gąszczu rozlega się hałas, gruchot. Zamykam oczy, by nie patrzeć na tę grozę, przypuszczałem bowiem, że znowu ukażą się trzy bestye razem. W końcu jednak ucichło wszystko.

Nareszcie, nareszcie — ach, tylko ten, co był w podobnem położeniu, może współczuć ze mną—, nareszcie dnieje. Rozjaśniło się. Zdaleka, słyszę ujadanie psów i turkot wozu. Teraz niema obawy. Nowe życie, nadzieja nowa wstąpiła we mnie. W mgnieniu oka byłem na ziemi i nie oglądając się, ruszyłem prędko, o ile nogi były mi posłuszne, do domu.

Droga szła koło chaty leśniczego. Ale ten spał jeszcze. Naturalnie, taki pan, zamiast tępić drapieżniki w swoim rewirze, woli się wylegiwać pod pierzyną.

Moja gospodyni już nie spała. Była wdową po rymarzu, przez co łatwo uzyskałem od niej pas brzuszny. Na wspomnienie o tem, chciałem jej się zwierzyć ze szczęśliwego ocalenia. Lecz ona patrzyła na mnie wzrokiem, który zdawał się mówić: „Tak, tak, młody i zakochany!“

Moi „chłopcy“ stali już przede drzwiami szkoły, spragnieni wiedzy.

— Niech tam który z was pójdzie do pana leśniczego i zapyta go, czy mogę się z nim rozmówić.

Naturalnie, że po tym rozkazie, zamiast jednego, pobiegli wszyscy.

— A tak — odezwali się potem chórem — czeka tam, w domu.

— No to wchodźcie tymczasem do klasy i otwórzcie w książce rozdział o wilkach; niedługo wrócę.

— Panie leśniczy, panie leśniczy — wpadłem do niego do mieszkania, zapomniawszy powiedzieć „dzień dobry“. — Panie leśniczy, trzy wilki napadły mnie tej nocy w lesie.

(*Dok. nast.*).

krajowe" (Kraków, 1882) o sowie płomykowatej: „Żadnych większych ptaków nie zaczepia, czego dowodem może być okoliczność, że często przebywając po gołębnikach, nigdy nie zaczepia gołębi, a nawet te ptaki tak się z nią oswajają, że żadnej nie okazują obawy i swobodnie obok niej siadają".

Wobec tak kategorycznych świadectw tych dwóch specyalistów, których głęboka powaga naukowa uznaną została przez cały świat ornitologiczny, zachodzi pytanie, czy obserwacya p. T. C. była dokładną, i czy owo zniknięcie *kilkunastu par gołębi w ciągu kilku dni* nie miało innych jakich przyczyn, do ukrycia których posłużyła obecność sów, a może i odwiedzanie przez nie gołębnika?

Stając tak gorąco w obronie sów, nie chcę przez to bynajmniej twierdzić, aby ptaki te w braku innego pokarmu lub w razie dobrej sposobności nie zaatakowały czasami jakiej młodej kuropatewki lub małego zajączka, Wszak to są ptaki drapieżne, trudno więc jest im przypisywać znajomość praw łowieckich lub reguł ochrony użytecznego ptactwa. Sam Taczanowski w dziele tylko co zacytowanem, powiada, że sowa błotna „łowi bardzo sprytnie bekasy i inne ptaki błotne, również jak kuropatwy i przepiórki w polach". Muszą to jednak być tylko oderwane wypadki, o czem przekonywa nas przytoczony powyżej egzamin gałek sowich, dokonany przez Altuma.

Ponieważ sporna dla nas kwestya użyteczności, względnie szkodliwości sów jest pierwszorzędnego znaczenia dla stosunków rolnych i łowieckich—a przedewszystkiem dla rolnych, postaram się przeto zrobić krótki przegląd prawodawstw europejskich z punktu zapatrywania się na tę sprawę.

Prawo dla *Cesarstwa Niemieckiego* z 1888 roku w artykule 8-ym przytacza listę zwierząt i ptaków, uważanych za szkodne; sowy (z wyjątkiem puhacza) nie są tam wymienione, co oznacza według brzmienia art. 1 tegoż prawa, że nie wolno jest tępić gniazd, ani jaj, ani młodych tych ptaków, a według art. 3 zabrania się strzelać i niszczyć te ptaki w terminie od 1-go marca do 15-go sierpnia.

W *Królestwie Wirtemberskiem* w art. 1-ym rozporządzenia z d. 16 sierpnia 1878 r. wymienione są ptaki użyteczne, które cieszą się ochroną w ciągu całego roku. Znajdujemy tu wszystkie sowy z wyjątkiem puhaczą.

W *prowincyi Alzacko-Lotaryńskiej* par. 6 rozporządzenia z d. 20 czerwca 1883 roku zawiera listę ptaków użytecznych, między któremi figurują sowy z wyjątkiem puhacza. Zatem i tu według brzmienia par. 7-go wspomnianego rozporządzenia, sowy cieszą się ochroną przez rok cały.

W *Wielkiem Księstwie Badeńskiem* rozporządzenie z 1886 r. zawiera listę ssących i ptaków, uważanych za szkodne. Wymieniony jest tu tylko jeden puhacz, gdy inne sowy są pominięte, co znaczy, że prawo nie uważa ich za szkodniki. To samo powtarza się w art. 2 rozporządzenia ministeryalnego z 6 listopada 1886 roku.

W *Cesarstwie Austryackiem* prawo dla Austryi Górnej (z dnia 30-go kwietnia 1870 roku), zawiera Annex *C*, w którym są wymienione ptaki użyteczne, a między niemi wszystkie sowy z wyjątkiem puhacza. Par. 4-ty wspomnianego prawa ustanawia czas ochrony dla tych ptaków od 1-go lutego do 31-go sierpnia.

W *Królestwie Czeskiem* według prawa z d. 30-go kwietnia 1870 roku ptaki, wymienione w Annexie *C* (zatem sowy z wyjątkiem puhacza), wolno jest strzelać w okresie od 15 sierpnia do 31 stycznia tylko za piśmiennem pozwoleniem właściciela gruntu lub dzierżawcy polowania, poświadczonem przez wójta gminy.

Prawo dla *Królestwa Galicyi i Lodomeryi (z prowincyą Krakowską)* z 1854 r. zawiera Annex do par. 2, w którym pomiędzy innemi użytecznemi ptakami wymienione są sowy (z wyjątkiem puhacza). Cieszą się one zatem ochroną prawa przez rok cały (par. 2)*).

W *Istryi* prawo z 1870 roku przyjmuje ten sam Annex *C* i ogranicza w par. 3-im czas polowania na ptaki, w nim zawarte (zatem i na sowy) od 1 września do 31 grudnia. To samo powtarza się w *Carniolii* według prawa z d. 17 lipca 1870 roku i w *Morawii* (prawo d. 30 kwietnia 1870 r., par. 4).

W *Salzburgu* i na *Szlązku Austryackim* sowy według art. 3-go Prawa z 1888 roku cieszą się względną ochroną (od 1 lutego do 31 sierpnia). To samo powtarza się w *Vorarlbergu*.

Wreszcie w *Anglii* sowy zaliczone zostały do 2-ej kategoryi ptaków, podlegających względnej ochronie (od 15 marca do 1 sierpnia) narówni z gajówką czarnogłową, krętogłowem, muchołówką, mysim królikiem, jerzykiem, słowikiem, kozodojem, rudzikiem, jaskółką, pliszką, zielonym dzięciołem i innemi użytecznemi ptakami **).

Dotychczas wymieniłem te wszystkie kraje, w których sowy, jako ptaki użyteczne, cieszą się zupełną lub względną ochroną. Pozatem idzie cały szereg państw, w których dotychczas nie uwzględniono ochrony użytecznego ptactwa, jak Belgia, Holandya, Dania, Szwecya, Włochy, Hiszpania, Turcya i inne; więc jasnem jest, że prawodawstwa tych krajów milczą zupełnie o sowach, nie wyrażając się ani za ich użytecznością, ani też szkodliwością. Wreszcie pozostają jeszcze dwa państwa, a mianowicie Francya i Rosya, w których sowy uznane zostały za szkodne i do tępienia wskazane. Właściwie mówiąc, we *Francyi* Prawo z 1844 r. nie wspomina nic o szkodliwości sów, jak wogóle milczy o wszelkich innych szkodnikach. Lecz art. 9 tego Prawa mówi między innemi, „że prefekci departamentów stosownie do uznania rad generalnych, stanowić będą o szkodliwości zwierząt, które tem samem tępić będzie można w ciągu całego roku". Otóż w większości wypadków wspomniane władze orzekły się za szkodliwością sów, co dowodzi tylko, że pp. prefekci i radcowie generalni traktowali ten przedmiot powierzchownie, wychodząc zapewne z zasady, że sowa, jako ptak drapieżny, *eo ipso* musi być szkodną.

Inaczej rzeczy się mają w *Rosyi*, gdzie obowiązujące dziś prawo z 1892 roku w art. 20 pomiędzy innemi ptakami szkodliwemi wymienia też i sowy, skazując je tem samem na zagładę.

Bądź co bądź z powyższego przeglądu prawodawstw 15 państw samodzielnych lub prowincyj autonomicznych, widzimy w 3 wypadkach zastosowaną do sów kompletną ochronę, polegającą na zabronieniu strzelania tych ptaków przez rok cały; w 10-iu wypadkach prawodawstwa otaczają sowy ochroną względną (przez znaczną część roku, wliczając w to porę lęgową); a tylko w dwóch wypadkach (Francya i Rosya) sowy uznane zostały za szkodne i na zagładę skazane.

Dla nas przedewszystkiem miarodajnem i pouczającem powinien być pogląd na tę kwestyę trzech wielkich państw (Niemiec, Austryi, oraz Anglii), w których niewątpliwie nietylko łowiectwo, ale i rolnictwo stoi na najwyższym szczeblu rozwoju. Zrozumiano tam, że interesy rolnictwa powinny iść przed interesami łowiectwa i sowy otoczono należytą opieką; a widocznie, że i łowiectwo nie cierpi na tem, skoro kraje te obfitują w zwierzynę i służyć mogą za przykład swą gospodarką łowiecką.

Zostawmy więc w spokoju sowy i zamiast nawoływać do tępienia ich, uczmy raczej nieświadomych, że ptaki te są prawdziwymi sprzymierzeńcami czło-

---

*) Na nieszczęście nie mam pod ręką obowiązującej obecnie w Galicyi Ustawy Łowieckiej. *(Przyp. aut.)*.

**) Ptaki 1-ej kategoryi podlegają ochronie od 15 lutego do 1 sierpnia, ptaki zaś 3-ej kategoryi—od 1 kwietnia do 1 sierpnia. *(Przyp. aut.)*.

wicka w jego uciążliwej pracy około roli. Kilka zajęcy lub kuropatw mniej w naszych zwierzostanach nie zrobi nam wielkiej luki, gdy tymczasem miliony wytępionych przez sowy, myszy mogą poważnie zaważyć na szali bogactwa narodowego.

Jan Sztolcman.

Wielkie psy pasterskie.

(Ciąg dalszy).

5. Psy bałkańskie.

Wszystkie psy pasterskie w Mołdawii, Bulgaryi i krajach sąsiednich należą do opisywanej grupy, lecz niema między niemi żadnej ustalonej, o wybitnych cechach, rasy. Biorąc przeciętnie, są to psy duże, od 60 do 70 cm. wysokości, dzikie, niebezpieczne dla obcych i powierzchowności wcale niepociągającej. Budowy są masywnej i silnej. Pokrywa je szerść długa, ordynaryjna, nie pokręcona, lecz prosta; tylko na głowach i mordach włos jest krótki. Miejscowi włościanie i pasterze zwykle obcinają krótko szczeniętom uszy i ogony, utrzymując, że przy tej operacyi wychodzi z nich zła krew i że takie szczenięta najlepiej się chowają. Brak uszu i ogonów, przy krępej budowie i długiej szerści, nadaje tamtejszym psom pasterskim wygląd niedźwiadków. Maść jeszcze bardziej przyczynia się do tego podobieństwa, gdyż bywa najczęściej różnych odcieni burych, zaczynając od prawie czarnego do jasno-płowego.

6. Psy węgierskie.

Psy te, budowy silnej, lecz dość lekkiej, są bardzo żywe, inteligentne i odważne. Od wszystkich poprzednich ras tej grupy różnią się głównie tem, że zamiast właściwej szerści, której wcale nie mają, są obrośnięte nadmiernie rozwiniętym, długim, gęstym i kędzierzawym puchem, czyli podszerstkiem, tworzącym takie runo, jak u baranów. Zdradzają one pewną domieszkę krwi psów ostrouchych, gdyż mordy ich, choć dość krótkie, są zakończone ostrzej, uszy czasami bywają na pół stojące; a co najważniejsza, mocno puszyste ogony noszą zakręcone na grzbiet. Maść psów węgierskich jest wyłącznie biała, a wzrost średni około 65 cm. Od tych to psów, krzyżowanych ze spanielami, pochodzą pudle, o czem na właściwem miejscu pisałem.

7. Psy ruskie (owczary).

W południowej i wschodniej Rosyi istnieje rasa wielkich psów owczarskich, przeznaczonych nietylko do pilnowania i zapędzania, ale i do skutecznej obrony przed wilkami olbrzymich stad baranów. Należą one do największych psów pasterskich, gdyż dochodzą wzrostu 75 cm. Do stepów południowo-wschodnich przywędrowały zapewne z Azyi wraz z koczowniczemi ludami, jak np. z tatarami i kałmykami lub z hunnami, z którymi dostały się i do Węgier. Rzeczywiście, psy południowo-ruskie i węgierskie zdradzają jedno pochodzenie, tylko, że węgierskie uległy pewnym zmianom przez krzyżowanie z psami ostrouchemi, gdy ruskie zachowały typ pierwotny. Owczary, tak jak i psy węgierskie, obrośnięte są nie szerścią, lecz wełnistem runem, tylko jeszcze dłuższem i zwijającem się łatwo w kołtuny na szynkach i ogonie. Budowy są silnej, lecz dość lekkiej, co daje im możność szybkich ruchów, potrzebnych przy stróżowaniu i zaganianiu stad. Głowy mają duże i okrągłe; mordy mało wydłużone; oczy ciemne i duże, a uszy niewielkie, zwieszone i pokryte włosem dość krótkim. Przeciwnie na głowach i mordach wełna jest bardzo długa, tak, że do połowy zakrywa oczy. Maści bywają brudno-białej, jasno-płowej lub jasno-siwej. Ogólny wygląd tych psów jest odstręczający, a charakter ponury i dla obcych ludzi nieprzyjazny; lecz obowiązki swoje spełniają czujnie i odważnie i do panów swych bardzo się przywiązują.

8. Psy egipskie (Ermenti).

Jednego pochodzenia z węgierskiemi i ruskiemi jest egipska rasa psów pasterskich, zwana tam ermenti. Są one także obrośnięte wełnistem runem, nieco krótszem niż u psów ruskich, lecz również kędzierzawem. Uszy mają stojące, bardzo małe, ostro zakończone, a ogony bardzo długie, mocno wełniste i opuszczone na dół; tylko koniec ogona jest zakrzywiony ku górze. Ermenti bywają maści prawie wyłącznie szaro-żółtej, a wzrostu około 55 cm., czyli, że są mniejsze od innych psów tej grupy.

9. Psy azyatyckie.

W południowo-zachodnich krajach Azyi, szczególniej u tatarów, zamieszkujących południowe strony Kaukazu, spotykają się również wielkie psy pasterskie, lecz są one dotąd bardzo mało znane i niewiadomo, czy znajdują się między niemi jakie ustalone rasy. W opisach podróżników i myśliwych, zwiedzających Małą Azyę i kraje zakaspijskie, spotyka się luźne wzmianki o dużych i złych psach pasterskich, nigdzie jednak nie znalazłem opisu jakiejś wyróżniającej się odmiany tych psów i dlatego wspominam o nich tylko nawiasowo.

(C. d. n.)

Z TOKU GŁUSZCÓW.

Zwierzyniec Pilawiński.

(Ciąg dalszy).

„Na zapadzie“ głuszca zabić, to nie tak często się zdarza; celem bowiem wieczoru jest osadzenie koguta na jutro; trzeba spotkania i to wybitnego—a że ono widocznie, według rozkazu św. Huberta, niepospolicie mnie na tej wyprawie, łaskami swemi darzyło, więc i o wieczornej porze miłych doznałem wrażeń.

Już kukułka po raz ostatni, pięciokrotną seryę wykukała (czyżby na starość przesądnym się trzeba zrobić? pięć razy na dobranoc kuka? czyż nie za śmiałem proroctwo dla mnie, iż pięć na tej wycieczce zabiję głuszców?), już drozd-śpiewak ostatnią z muzykalnego wyciągnął pieśń gardziołka, już wszystkie cichną muchołówki i pokrzywki, już zięba ostatni w przestwór posłała trel, już żuki basowym się słyszeć dają pomrukiem (najpewniejsza chwila zapadania głuszców na noc), tylko rogacz w najlepsze jeszcze beczy w oddali — a moje „wysłuchy“ dotąd niefortunne, żadnego koguta dotychczas na jutro nie osadziłem—gdy wtem z tyłu, z szybkością pioruna idąc w zawody, z donośnym szumem coś nagle przypada i z ogromnym łoskotem w sosnę, siadając, wali. On, oczywiście, on, ten wyczekiwany, wielki, czarny — ale gdzie? zupełnie z tyłu; słuch mówi, że to nie daleko, na strzał, ale z tyłu! I znowu rozgorączkowana wyobraźnia szybkiego pragnie planu, postanowienia. Nie-

podobna nic uradzić, trzeba najpierw starać się dojrzeć ptaka; bo gdyby siadł dalej — i owszem: nie o strzale się tu myśli, przedewszystkiem o jutrzejszy rozchodzi się poranek. Głuszec tu jutro najpewniej tokować będzie — ale jak się stąd wycofać, by go nie spłoszyć, jak się wysunąć z tak bliskiego sąsiedztwa najostrożniejszego z ptaków? Przedewszystkiem dowiedzieć się, gdzie siedzi, oto początek kampanii. Na szczęście krzesełko się wraz ze mną obraca; o pół tylko proszę obrotu, trzy ćwierci conajwięcej, a cichutko, bo mój czarny pewnie w tej chwili najdokładniej bada swoje stosunki noclegowe. Zdobyłem trzy ćwierci obrotu — mała zdobycz — ale słuchu zmysłem dając się powodować, domyślam się, że siąść musiał w wieńcu starych sosen, o radości!, na strzał, niebliźki, wprawdzie, ale możliwy. Nic jednak nie widzę — oczywiście siadł z drugiej strony grubego pnia. Teraz św. Hubercie, albo Dyano-Sylwanko, albo ty wreszcie, pięciokrotna kukułko, ratuj! Otóż i ratunek zesłany: lekkomyślnie, widocznie, obrał swój fotel głuszec, chociaż aż trzy razy zastękał z zadowolenia, siadając; nie pomny zasadzie „le mieux est l'ennemi du bien“, poprawia się, a przy tej poprawce, o przedziwne szczęście, pokazał mi głowę. To wystarczy, poniżej musi mieć resztę; myśl i strzał, to pojęcie jedno. Zerwał się najtwardszy z kuraków z niemniejszym, niż przy siadaniu, hałasem, ale uważam, że miasto w dal lecieć, ku sąsiedniej zmierza sośnie. To już dobrze! Pragnie usiąść, trafia na liczne, suche gałęzie, łamie ich moc wielką — i z niemi razem wali się do ziemi. Nie wiem, gdzie padł, ale słyszę wyraźnie ostatni łoskot. Nie dowierzam kurakom, wiem, że skrzydeł pozbawione, skutecznie ocalenia szukają w pieszej ucieczce, więc pędzę do miejsca, w którem powinien leżeć; mgłą smutku oczy zachodzą; już go niema! Jakto? Czym zmysły postradał? przecież pędząc tak szybko, w przeciągu kilkunastu sekund, byłem na miejscu. Rozglądam się wszędzie, obchodzę obie w mowie będące, sosny: ani śladu, ni pierza, ni farby — nic! Może umysłowe moje stępiły się władze, może zmysły osłabły? Trzeba sprawdzić, czy nie zmyliłem kierunku; wracam na stanowisko; nie, widzę dokładnie: na tej sośnie strzelony, na tej oto drugiej sośnie chciał siadać. Szukam dalej, zataczam jeden poszukiwania krąg, rozwijam je w dalszym, szerszym — wszystko napróżno, widocznie popędził po ziemi, zanim przybiegłem. Trzeba się z losem pogodzić. Ach! ta rezygnacya! Jakąż gorzką przedstawia pociechę! Nie, lepiej gniewać się na siebie, nad sobą się znęcać, wyrzuty czynić: źle się stało! o źle! Tok jutrzejszy zepsuty, hałasu dużo, głuszec przepadł, na jutro małe widoki powodzenia. Gdy tak zrzędzę, zupełnie przytem nieparlamentarnych używając wyrażeń, których jednak pragnę oszczędzić łaskawym na moją niedolę, a cierpliwym na rozwlekłość opowiadania, czytelnikom, z przyzwyczajenia, rozglądając się po lesie, już nie za głuszcem, bo smutna ta karta historyi, jak sądziłem, zamknięta, widzę jamę lisią, a przynajmniej zagłębienie, ją przypominające, ale zakryte. Cóż u dyabła, jama — a pełna? Jama powinna być jamą, więc próżną! Ciemno już bardzo, nie rozpoznając tedy, co tworzy jamy przykrywkę, zamierzam ją nogą potrącić... Zanim nogę podniosłem, przykrywka w górę się wznosi, a ją tworzący, czarny mój pan dobrodziej, w szalonym pędzie wypada, głowa do góry, ogon w wachlarz i „co która nóżka wyskoczy“. Hola, bratku! teraz ja będę miał ostatnie słowo: w drugiej lufie jest ładunek, jako kara za taką wyrafinowaną przewrotność. Lecz to się dzieje na tokach; już i tak dość hałasu, trzeba się najpierw w pieszym pościgu zmierzyć z przeciwnikiem. Zwycięstwo, jak zwykle, po stronie człowieka. Wprawdzie nie łatwo dopadłem tego dziwnego piechura, lecz on fizycznie postrzelony, ja tylko moralnie zgnębiony przebytą troską.

Jeszcze fortelu kogut próbował: schował się za grube drzewo i dopiero po uciążliwem, około pnia, karuzelowaniu, pozwolił się pochwycić, rażąc mię przytem potężnemi swemi skrzydłami. Niezwykła to była przygoda, pouczająca o sprycie tego ptaka, który w szybkiej ucieczce, postrzelony, więc słabszy, skorzystał z czeluści w ziemi, by się w niej ukryć i głowę schować, od strusiów pożyczając znanej, przysłowiowej sztuczki.

Ant. Kaz. hr. Wodzicki.

(C. d. n.).

NOTATKI MYŚLIWSKIE Z INDYJ

przez

Józefa hr. Potockiego.

(Ciąg dalszy.).

Wszystkie niemal narodowości Indyj, środkowej Azyi, Chin i Mongolii, Arabii, Persyi i całego Wschodu, naznaczyły sobie tutaj, jakby rendez-vous ogólne. Poważni Bramini w białych, muszlinowych sukniach, z czerwonemi na głowie zawojami i oznaką kasty, do której należą, wymalowaną na czole, nadzy Coolisi, będący najniższą kastą ludności, ponury Arab o orlim profilu w białym burnusie, wychudły fakir w łachmanach i spiczastej czapce, jego kolega mahometańskiej wiary, derwisz, wyciągający rękę po jałmużnę, bogaty kupiec muzułmanin, brodaty Afgańczyk lub mieszkaniec dalekiego Kaszmiru, Chińczycy, pejsaci Żydzi, Persowie, wszystkie rasy Azyi zapełniają ulice i tłumne bazary, ścisk, wrzask, hałas nie do opisania — wszystko to tworzy obraz niezrównanej żywości kolorytu, który napróżno kusiłbym się należycie opisać.

Ważną rolę w społecznem życiu Bombayu odgrywają Parzisi, przybysze z Persyi od wielu już wieków. Ci czciciele wiecznego ognia, uczniowie Zoroastra, najwięcej się do Europejczyków zbliżyli i starają się przybrać ich cywilizacyą, a nawet zwyczaje; tworzą oni niejako mieszczańsko-kupiecką inteligencyą handlowej metropolii. Kantory, banki, domy handlowe, są przeważnie w ich ręku, niektórzy z nich posiadają olbrzymie fortuny, a młodzież ich, garnąc się do nauki, zajęła w ostatnich czasach niemal wyłącznie posady miejskich lekarzy, adwokatów, urzędników i t. d. Mimo tego zbliżenia się do europejskiej kultury, stoją oni niezachwianie przy wierze swych ojców i wieczny ogień, przed tysiącem lat z Persyi przywieziony, dotąd nie wygasł w tajemniczych cudzoziemcom niedostępnych świątyniach, sekta ta zachowała dotąd według przepisów Zend-Avesty, wstrętny zwyczaj niegrzebania umarłych, lecz wystawiania zwłok na pożarcie ptakom drapieżnym. Każdego Parzisa zanoszą po śmierci na t. zw. wieżę wiecznego milczenia w części miasta Malabar Hill położoną, około której rozsiadłe na pobliskich drzewach brzydkie, ogromne sępy, ciałem ludzkiem obżarte, czekają tylko nowej ofiary.

Spacer na wyspę Elephanta, gdzie się znajdują ruiny w skale wykutej, odwiecznej świątyni indyjskiej, stanowi zwykłą wycieczkę dla każdego turysty.

Zamierzyłem dłużej w Bombayu pozostać, by się na wstępie do nowego kraju nieco rozpatrzeć i plan przyszłej podróży w główniejszych przynajmniej zarysach ułożyć. Mając głównie na widoku myśliwski cel mej podróży, rozpocząłem odrazu formalną kampanią w tym kierunku. Dalszy ciąg moich notatek wykaże, ile starań, zabiegów i nieraz kilkomiesięcznych naprzód przygotowań potrzeba, zanim się upragnionego celu, to jest polowania w Indyach dosięgnie.

Zaraz drugiego dnia mojego pobytu w Bombayu, aby czasu nie tracić, rozesłałem liczne listy polecające, które posiadałem do różnych osób, prosząc jednocześnie o odpowiedź, czy mogę na ich pomoc i poparcie mych myśliwskich zamiarów liczyć, oraz czy wogóle mam szansę dostania się gdzie na polowanie.

Po tygodniu nadeszły odpowiedzi od kilku panów wojskowych, w głębi kraju mieszkających, znanych myśliwych i prawdziwych powag w sportowym świecie Anglo-Indyj. Odpowiedzi te nader uprzejme i mniej więcej równo brzmiące oznajmiały mi, że będą bardzo radzi z mych odwiedzin, co do polowania, jednak nie śmią robić mi żadnej nadziei. Jeden tylko, pułkownik Gerard z Goony w środkowych Indyach, zapraszał mnie en forme na polowanie, ostrzegając jednak, że polowanie u niego mierne, tygrysów mało, że zresztą pora zbyt wczesna i przed końcem kwietnia na tygrysy polować trudno.

Odpowiedzi te niezbyt mię ucieszyły, rad byłem tylko z zaprosin Gerarda, o którym wiele od znajomych słyszałem, mianowicie, że dla cudzoziemców bardzo jest uprzejmym, a przytem ma to być wytrawny myśliwy.

Nie traciłem jednak nadziei na coś lepszego, licząc na najważniejsze me listy, z dobrych źródeł pochodzące do wicekróla, lorda Beresford i innych, wysokich dygnitarzy angielskiego świata w Kalkucie.

12-go lutego. Po 10-iu dniach pobytu w Bombayu, pożegnałem to miasto i rezydującego w niem austryackiego konsula Stockingera, nader uprzejmego i usłużnego reprezentanta Austro-Węgier na dalekim Wschodzie.

Sześćdziesięciu godzin jazdy szybkim kuryerem potrzeba, by przebyć dużą odległość 2,200 kilometrów, oddzielającą dwie indyjskie metropolie na przeciwległych krańcach Hindostańskiego półwyspu położone.

Podróż niezbyt nużąca, wagony wygodne, restauracye po drodze możliwe, upał nie dokuczał zbytecznie, a przesuwający się przed oknami nowy zupełnie krajobraz, przerywał jednostajność długiej jazdy koleją.

Gdyśmy przejeżdżali równiny środkowych Indyj, zoczyłem przez okno wagonu pierwszą zwierzynę w Indyach, mianowicie smukłe gazele i antylopy, które stadami z kilkunastu sztuk złożonemi, pasły się spokojnie w łanach dojrzałej cu w lutym pszenicy, o kilkaset kroków od kolejowego toru, wcale się pociągu nie obawiając. Nie mogłem się wstrzymać od okrzyku zadziwienia, zobaczywszy z wagonu po raz pierwszy w życiu gromadkę dzikich małp dużego gatunku, wyprawiających wesołe skoki w cieniu rozłożystego banana. Bawią też oko zielone papugi na drutach telegraficznych rozsiadłe i mnoga rozmaitość niezwykłych dla Europejczyka ptaków, których widok jakby zapowiadał czekające nas dziwy indyjskiej fauny.

14-go przerwałem podróż na 24 godzin, by zwiedzić położone po drodze miasto Benares nad Gangesem. Benares, to święte miasto Hindusów, centrum i ognisko religii Braminów, cel pielgrzymki licznych milionów wyznawców Brahmy, z których każdy choć raz w życiu, jak Muzułmanin do Mekki, do Benares śpieszy, by, złożywszy ofiarę na ołtarzu świętej Siwy, wykąpać grzeszne ciało w nurtach świętego Gangesu.

Nietylko dla wyznawców Brahmy, Benares jest ważnem miejscem: czczą go też setki milionów budystów, jako kolebkę Budaizmu. Tu bowiem nad brzegiem Gangesu 25 wieków temu, powstał Sakya-Mounis, założyciel Budaizmu, głosząc zasady nowej wiary, która wyparłszy z Indyj braminizm, zyskała szybko miliony wyznawców i ogarnęła znaczną część ludów Azyi. Po kilkunastu dopiero wiekach braminizm znowu się wzniósł i wzmocnił, a wypędzając budaizm do głębszej Azyi, przywrócił napowrót przewagę dawnej wiary, którą dziś około 200 milionów Hindusów wyznaje. Dziś jedna jest tylko świątynia Budhy w Benares, jakby na wieczną pamiątkę minionego panowania tej religii w Indyach. Jest za to 5,000 świątyń indyjskich, wznoszących ku niebu swe pagody o dziwacznej architekturze i przeszło 300 meczetów o wysmukłych minaretach, gdzie liczna miejscowa muzułmańska ludność, tu na Zachód ku Mecce się patrząc, wiarę Mahometa wyznaje, wszystko to słusznie Benares nazwę świętego miasta nadaje. Ileż tu dziwów, ile rzeczy ciekawych dla zwiedzającego! Świątynia małp, z hurmą tych zwierząt, którym Hindusi boską cześć oddają, druga świątynia, w której święta krowa, zwyczajne bydlę do marmurowego filaru przywiązane, obojętnym i głupim wzrokiem przyjmuje pokłony i ofiary pobożnych, dalej złota pagoda Siwy ze szczerozłotą kopułą, oto najciekawsze miejsca, które każdy zwiedzający obejrzeć musi.

Prawdziwie imponujący obraz przedstawia Benares rano po wschodzie słońca z małej łodzi na Gangesie, w której odbyliśmy spacer po rzece. Majestatyczna panorama świętego miasta z jego tysiącami pagód i minaretów, rozwija się przed nami na lewym, górzystym brzegu rzeki, wspaniałe pałace i rezydencye indyjskich Rajahów wznoszą się dumnie w zwartym szeregu budowli, z każdego z nich prowadzą szerokie, marmurowe schody do nurtów rzeki.

U stóp ich tysiące Hindusów mężczyzn i kobiet odbywa swe codzienne religijne ablucye; obok pod parasolami rozsiedli fakirzy, ściągający datki z pobożnych i dymiący stos drzewa, na którym według zwyczaju bramińskiej religii, dopalają się zwłoki zmarłego Hindusa — wszystko to stanowi dziwny, jedyny w swoim rodzaju obraz.

15-go w południe opuściliśmy Benares; jeszcze 20 godzin jazdy koleją i nazajutrz przybyliśmy do Kalkuty, przebywszy po drodze rzekę Hongli, jedno z licznych ramion Gangesu, które złączywszy się wyżej z Bramaputrą, tworząc szeroką deltę, niedaleko ztąd wpada do morza.

W Kalkucie miały się zdecydować moje zamiary i rozstrzygnąć losy mej myśliwskiej wyprawy. Z uczuciem niemałej emocyi, w parę godzin po przyjeździe, złożyłem wizytę sekretarzowi wicekróla, lorda Beresford, który zajmując to wysokie stanowisko, jest zarazem „le grand faisuer“ wicekrólewskiego dworu. Zawiadomiłem go jeszcze z Bombayu o moim przyjeździe, załączając jednocześnie listy polecające do wicekróla. Uprzejmy lord zazwyczaj cudzoziemcom urządzenie wypraw myśliwskich ułatwia, wyrabia zaproszenia do indyjskich książąt, czyli Maharadżów i wogóle, jeżeli ktokolwiek w Indyach w tym względzie cudzoziemcowi pomódz może, to niewątpliwie najlepiej i najskuteczniej uczyni to lord Beresford, nawiasem mówiąc, najuprzejmiejszy i najmilszy człowiek w świecie. Niestety, po paru chwilach rozmowy z nim, zaczęły się me marzenia i nadzieje, jak marne sny, rozwiewać. Nie zawiadomiłem lorda dość wcześnie o swoim przyjeździe i teraz nic już nie można było zrobić.

Mahardżah Kooh-Beharu, który zazwyczaj cudzoziemców zapraszać lubi i na którego najwięcej liczyłem, już był — z licznem gronem zaproszonych gości — rozpoczął swe doroczne polowania. Rajah z Rewah — u którego moi austryaccy znajomi, hrabiowie Hoyos, Trautmansdorff i Szechenyi, lat temu kilka, tak świetne zdobyli trofea — miał już ułożoną listę gości, 16 strzelb i absolutnie nikogo więcej przyjąć nie mógł. W Nepalu, na północy, w najlepszym tygrysim rejonie, polował właśnie z ogromną świtą ks. Albert Wiktor, syn księcia Walii; w Assamie, ojczyźnie nosorożców, brakło słoni, które znajdowały się gdzieś w Birmie, na wojskowej wyprawie Anglików nad chińską granicą, a bez słoni niesposób polować. W środkowych prowincyach było o półtora miesiąca zawcześnie; jednem słowem nic a nic, i żadnej nadziei mieć nie mogłem.

(*C. d. n.*).

PRZYCZYNEK DO ARTYKUŁÓW p. t. „Tępienie wilków".

(Ciąg dalszy).

Przypomina mi się tutaj komiczny epizod, jaki miał miejsce przed dziesięciu mniej więcej laty: Z powodu niefortunnego położenia, wejście do czatowni miałem z wierzchu (z dachu) przez podnoszoną klapę. Najbliższy mój sąsiad, p. B., zasłyszawszy o moich skutecznych wyprawach, naparł się pewnego dnia, aby go zabrać z sobą. Zawolanego śpiocha, p. B., ulokowałem na kanapce, wysłanej sianem, sam zaś zająłem miejsce przy strzelnicy, tembardziej, że p. B. będąc małego wzrostu, do otworu strzelniczego na palcach spinać się musiał. W chwilę po ulokowaniu się naszem w czatowni, p. B. tak przeraźliwie chrapać zaczął, że musiałem opuścić okienko i energiczną interwencyą przerywać jego morfeuszowskie inklinacye i ten niepożądany koncert, przyczem p. B. uparcie twierdził, że wcale nie śpi, tylko sapie z gorąca (przy 18 stopniach mrozu!). Tylko w międzyaktach tej wychrapanej opery, udawałem się do okienka, aż nareszcie spostrzegam pojedynczego wilka, jak się czai do konia; pozwalam mu się „weźreć", poczem rozbudzam sennego B. i tłómaczę, że ponieważ może wilka spudłować, niech więc zaczeka, aż ja wydobędę się z klapy ramionami ponad dach, aby mieć wygodny strzał na wszystkie strony po jego spodziewanem pudle. Zrozumiał o co chodzi, odsuwam mu więc szybkę i po drabince podnoszę się do klapy w dachu, którą ze wszelkiemi ostrożnościami otwieram... Nim jednak zdążyłem znaleźć się z bronią ponad dachem, w czatowni rozlega się huk, ogarnia mnie dym, poczem słyszę upadek jakiegoś ciała. W pierwszej chwili zakląłem siarczyście, zaraz jednak błyskawicznie przemknęła mi myśl, że B. może się przez nieostrożność zabił lub zranił, nim jednak zsunąłem się z drabiny, B. wybuchnął gamą szalonego śmiechu. Już teraz na dobre zakląłem wcale nieparlamentarnie, bo aby sploszyć wilka, napędzić mi stracha i w dodatku śmiać się, jak zdeklarowany waryat, na to trzeba ostatniego fajtłapy, a nie myśliwego. Cóż się okazało? Oto mały B., nie mogąc wygodnie wziąć na cel, stojąc na palcach przy okienku, do mego wzrostu zastosowanem, wspiął się na kanapkę, skąd, kucając, starał się ulokować końce luf w strzelnicy, przyczem stracił równowagę, a padając stamtąd na twarz i machinalnie szukając oparcia w będących pod palcami cynglach, wystrzelił w ścianę, poczem sam zwalił się na miałką, pod nogami będącą glinę, a nabrawszy jej pełne usta i nie mogąc na razie nawet krzyknąć, dopiero wypluwszy część zawartości i zoryentowawszy się, że mu się nic nie stało, zaczął się śmiać, jak szalony, rzekomo dla mego uspokojenia, że jest zdrów i cały. Rozumie się, że opuściłem czatownię po tem niefortunnem zajściu, które jednak nie przeszkodziło wilkom bynajmniej tej samej nocy oporządzić konia do ostatniej żyłki.

5) Łapanie w doły.

Dwa są rodzaje wilczych dołów, a mianowicie doły zwyczajne i doły z przynętą. Jedne i drugie kopie się na znanych, wilczych szlakach w formie koła w średnicy około 4-ch łokci i 3 i pół do 4-ch łokci głębokie, o prostopadłych lub odwrotnie ukośnych ścianach (w gruntach lekkich dyluje się ściany), poczem wierzch pierwszych pokrywa się cienkiemi żerdkami, na to gałązkami i przytrząsa się wszystko trawą, ściółką, liśćmi, nadając pokryciu charakter otoczenia. Doły te rewiduje się codziennie rano, bo zdarza się, że inna zwierzyna, jak dziki i sarny, bardzo często w nie wpada.

Doły z przynętą urządza się dowcipniej nieco, a mianowicie w odległości stopy od brzegu dołu okala się go trzechstopowym rowkiem, głębokim 8 do 12 cali, i w tymże rowie grodzi się mocno plecione, z silnej łoziny, leszczyny, a najlepiej grabiny, dwa płotki w ten sposób, że dołem odległe są od siebie 3 stopy (o szerokość rowu), a górą schodzą się razem w wysokości 4 i pół do 5 stóp i tym sposobem tworzą one kolisty i zamknięty rodzaj plecionego dachu. Ziemią, wyrzuconą z rowu, zapełnia się go po wypleceniu jego głębokości napowrót i tym sposobem otrzymujemy około 12 cali plecionki w ziemi, utrudniającej podkopanie się. Otworem na ten cel pozostawionym, wpuszcza się wieczorem pomiędzy te dwa płotki owcę lub barana, poczem otwór ten zaplata się lub zamyka odpowiednio urządzoną furteczką. Wilki, usłyszawszy beczącą owcę lub poczuwszy przynętę, starają się do niej dostać, rozdrapując płot, lub podkopując się, owca jednak, mogąc krążyć swobodnie w koło, ucieka na przeciwną stronę; rozpoczyna się gonitwa w koło z nowemi próbami drapania i kopania, poczem, gdy im się zdaje, że owca jest za zagrodzeniem — albo przeskakują, albo wskakują na szczyt dachowato schodzących się płotów i w obu wypadkach wpadają bezpośrednio w dół. Ponieważ w takim dole nieraz kilka wilków się łapie, wnosić stąd wypada, że z chwilą, kiedy pierwszy wilk przeskoczy płot i znajdzie się w dole, pozostałe z zazdrości, aby tamten szczęśliwie nie skonsumował sam owieczki, wskakują za nim z pośpiechem na szczyt zaimprowizowanego dachu, a z impetu skoku nie mogąc się na nim zatrzymać, lecą na łeb za towarzyszem.

W doły zwyczajne łapie się najczęściej jedną tylko sztukę, pozostałe bowiem po wpadnięciu pierwszego wilka, doły ominąć potrafią i na przyszłość stają się ostrożniejsze. Sposobu urządzenia dołów z płotkami nauczył mnie jeszcze dziad mój, zawołany myśliwy i znawca kniei, od którego wiele myśliwskich tajemnic i sekretów posiadłem.

Między dzikami i wilkami, według słów mego dziada, istnieje rodowa nienawiść, i jak z jednej strony wilki dziesiątkują dziczy przychówek, tak dziki niszczą nieraz doszczętnie całe gniazda małych wilcząt; ja zaś przez cały czas moich wilczych wypraw ani razu nie widziałem wypadku, aby dziki z wilkami jedną zalegly knieję; zwykle, nawet już po dniu, drugie pierwszym ustępują.

K. Satkowski.

(Dok. nast.).

POLOWANIE NA SĘPY w stepach Chersońskich.

Skwarny i duszny dzień czerwcowy zbliżał się ku schyłkowi, a palące promienie zachodzącego słońca rzucały ostatnie blaski na rozległe, bujną trawą i barwnem kwieciem usiane stepy, gdy na dalekim szlaku ujrzałem wysoko wzbijający się tuman kurzawy: to mój kozak, Fed'ka, niesie mi upragnioną wieść o masowem pojawieniu się sępów w niedalekiej okolicy. Spakowanie niezbędnych przedmiotów do podobnej wycieczki nie zajęło nam dużo czasu i gdy zmrok zapadł, byliśmy już o kilka wiorst od domu. Około północy stanęliśmy przed pastuszym kureniem, wśród zupełnie głuchego stepu, gdzie nas oczekiwał miejsco-

wy „objeszczyk". Po krótkich naradach, owinąwszy się w burkę, ległem na miękkiej trawie i czas długi lubowałem się charakterystycznem trzeskotaniem nieopodal tokujących licznie strepietów, oraz wabieniem kochliwego przepióra, który w namiętnem podnieceniu miłosnem, zapędził się pod sam kureń i głosem ochrypłym nawoływał swą wybraną. Gdy rzęsistemi gniazdami usłany firmamet blednąć poczynał, a zorza swem światłem zaróżowiła wschodnią część nieba, byliśmy już na nogach i po krótkiej zakąsce niebawem ruszyliśmy w drogę, by przededniem dosięgnąć naszych stanowisk. Okolica, dziś obrana dla naszych łowów przedstawia kilkudziesięcio wiorstową płaszczyznę, przerżniętą jednym wąskim a głębokim wąwozem, w wierzchołku którego kilkadziesiąt starych, karłowatych, nawpół uschłych dębów, nad tą pustą króluje okolicą. Są to resztki dawnych lasów, zapewne jeszcze świadkowie Tuchajbejowskich czasów. Okolica ta jest ulubionem miejscem odpoczynków sępich i orlich, tu je też o każdej porze zastać można; tu, strudzone długą wędrówką odpoczywają, tu szukają schronienia w upalne dni letnie, tu też najliczniej zapadają na noclegi. Błądząc długo po urwiskach wąwozu i spotykając się co krok o ostro wystające gliniaste brzegi obrywów, dotarliśmy wreszcie do głębokiej brózdy, wrzynającej się daleko w płaszczyznę stepową. W ukryciu zajęliśmy nasze stanowiska, mając o pięćdziesiąt kroków przygotowaną przed sobą na równinie końską padlinę, widok której posłużyć nam miał na przynętę wszelkich rabusiów, a okropna woń jego przez kilka godzin ustawicznie pobudzała nas do mdłości. Podobnie wyczekujące polowanie jest bardzo niedogodnem z powodu skrępowania wszelkich ruchów, lecz nie pozbawione interesu dla lubiącego przyrodę, myśliwego, daje bowiem możność licznych obserwacyj nad życiem zwierząt.

Sęp w sprzeczności do orłów opuszcza o wiele później swe noclegi, a wzlatując z nich, wzbija się w wyżyny, gołem okiem prawie nie dojrzane i zataczając ogromne a majestatyczne koła, wypatruje swej zdobyczy. Na wypatrzoną ofiarę nie uderza raptownie, a zataczając coraz węższe koła, wolno i ostrożnie opuszcza się na ziemię.

Pierwsze czarne plamki na dalekim widnokręgu spostrzegłem około 8-ej rano, a za minut kilka z szumem i łopotaniem skrzydeł kilka sztuk opuściło się i zasiadło opodal padła. Od tej chwili co moment i z szybkim już pędem opuszczały się na ziemię te kolosy i około 9-ej naliczyłem siedmdziesiąt kilka sztuk sępów mnichów *(Vultur monachas)*, białogłowych *(Gyps fulnus)* dwa białosępy *(Neophron percnopterus)* i kilka orłów stepowych. Jedne siedziały pojedyńczo i apatycznie spoglądały na swych towarzyszów, inne, zbiwszy się w gęstą kupę, z wyciągniętemi szyjami, wpatrywały się w padło, inne znów, rozpuściwszy swe ogromne skrzydła w niezgrabnych ruchach, kołysząc się na swych krótkich nogach, podbiegały ku sobie; wyzywając się wzajemnie do walki. Jakiś stary osobnik z mocno pomiętemi piórami i silnie wytartym czubem siadł tak blisko mego ukrycia, że mogłem doskonale śledzić ruch jego każdy. Co chwila wyciągał swą gołą, długą szyję i z otwartym dziobem zdał się wciągać w swą gardziel miłą mu woń na wpół rozkładającej się padliny, a upojony zapachem, poziewał leniwie. Wreszcie jakiś śmiałek szybko podbiegłszy do padliny, silnem cięciem ogromnego swego dzioba rozpruł większą część jego. Widok wywalających się z szumem gazów z kiszek było hasłem do wstrętnej uczty dla zgłodniałej zgrai, która bijąc się i potrącając, opadła ścierwo. Pod krzepkiemi uderzeniami strasznych dziobów pękała skóra, darły się członki, trzeszczały kości. Tu kilka sztuk, wsadziwszy swe długie szyje w brzuch padłego zwierzęcia, wyciągało resztę kiszek i z sykiem, dławiąc się niemi, skwapliwie pożerało; tam znów kilka młotów waliło w łeb koński, wyciągając z niego język, wydłubując oczy i starając się dostać do mózgu. Inne znów, oddarłszy szmat ścierwa, unosiły go w pazurach i na stronie pożerały, by corychlej po nowy powrócić. Niebawem kości tu i tam bieleć poczęły, a za pół godziny nagi już zupełnie szkielet leżał w nieładzie przed nami. Obżarta zgraja rozłożyła się w około szkieletu i jedne siedząc, drugie na wpół leżąc z rozpostartemi skrzydłami, oddały się trawieniu.

Teraz przyszła na nas kolej i wybrawszy najpiękniejszy okaz, wypaliłem raz i drugi, a mój kozak też wygarnął ze swego gardłacza. Obżarty ptak nie łatwo wzlatuje i miałem jeszcze dość czasu posłać kulę, która jeszcze jeden żywot skróciła. Zanim podjęliśmy nasze cztery sztuki, już na całym widnokręgu ani jednego sępa nie było widać; jak szybko zjawiają się, tak prędko również nikną. Do wieczora mieliśmy czas na spreparowanie naszej zdobyczy i na odpoczynek przed nocną wycieczką, którą postanowiłem uskutecznić.

Wł. Czerniejewski.

(*Dok. nast.*).

Odpowiedź p. Paszkowskiemu.

Zamieszczony w n-rze poprzednim list mego Szanownego Kolegi, a nieocenionego towarzysza wypraw myśliwskich, zmusza mnie do wydobycia przed forum publiczne spraw, które właściwie rostrzygane być winny w łonie samego Towarzystwa. Jako jeden z założycieli tej instytucyi, biorący od lat 15-tu czynny udział w jej sprawach i działalności, pragnąłbym, aby szło ono zawsze prostą drogą do wytkniętego celu, którym przedewszystkiem powinno być wytwarzanie myśliwych-hodowców, a nie myśliwych-strzelców, bo ci ostatni sami o sobie pamiętać będą. Polowanie dla Towarzystwa powinno stać na samym końcu jego programu, gdy na czołowych jego numerach iść powinno propagowanie wśród najszerszych kół naszych ziemian prawidłowej hodowli zwierzyny, już to drogą publikowania tanich wydawnictw, już to przez grupowanie w koło siebie tych wszystkich myśliwych, którzy racyonalną gospodarkę myśliwską miłują lub umiłować pragną. Pozatem Ustawa nasza wskazuje nam jeszcze jako cele Towarzystwa: hodowlę rasowych psów myśliwskich, tworzenie muzeów wszelkiego zwierza i ptactwa łownego, zakładanie bibliotek łowieckich i t. p. — słowem, program tak obszerny, że gdyby go tylko wykonać w całości, fundusz, jakim Towarzystwo ze swych dochodów rozporządza, byłby zupełnie wyczerpany.

Przewiduje także nasza Ustawa dzierżawienie terenów myśliwskich i opolowanie ich, o ile okaże się nadwyżka ponad daną normę zwierzyny, i słusznie zwraca uwagę nasz Szanowny Oponent, że zarówno Towarzystwo centralne w Moskwie, jak i wszystkie Oddziały prowincyonalne, tereny takie posiadają i peryodycznie na nich polują. Pozwolę tylko sobie zwrócić tu uwagę, że tam członkowie, biorący udział w polowaniach, pokrywają całkowicie ze swej kieszeni wszelkie koszta utrzymania terenów, jak również i koszta samych wypraw myśliwskich. U nas rzeczy się mają zupełnie inaczej. Ogólna ilość członków, płacących składki, wynosi około 800, gdy członków, biorących udział w polowaniach Towarzystwa, jest około 100, to jest ledwie $^1/_8$ ogólnej liczby. Tych 100 członków (prawie wyłącznie mieszkańców Warszawy) opłaca rocznie 2,000 rb., za które mogą użytkować z lokalu Towarzystwa, z biblioteki, gazet wszelkich i względnie taniej, a doskonałej kuchni. Tymczasem koszta utrzymania terenów myśliwskich w Osiecku, oraz koszta polowań na nich wynosiły dotychczas 6,500 rb., a z wzięciem w dzierżawę Miedzny, podniosły się do 10,000 rb., co wyraźnie wskazuje, że To-

warzystwo nasze dokładało przedtem 4,500 rb., a nadal pokrywać będzie musiało 8,000 rb. deficytu w budżecie Wydziału polowań, nie mówiąc już o tem, że przy powyższym rachunku, owych 100 członków polujących, nie bierze najmniejszego udziału w ogólnych kosztach Towarzystwa, t. j. w utrzymaniu lokalu, kancelaryi, bufetu i t. p. Otóż bardzo wątpię, ażeby nasi członkowie prowincyonalni mogli patrzeć życzliwem okiem na tego rodzaju gospodarkę w naszej instytucyi i czy przewidywane w wiadomym wniosku zniechęcenie ich rzeczywiście się nie ujawni.

Ponieważ, jak dotychczas, jesteśmy na terenie finansowym tej sprawy, więc w dalszym ciągu rozwinę myśl swoją, egzaminując korzyści lub straty, jakieby Towarzystwo odnieść mogło w razie przyjęcia wniosku, orzekającego hodowlę zwierzyny, w celach sprzedawania jej żywej po cenach przystępnych, a dopiero następnie przejdę do zasadniczej kwestyi, czy wniosek ten jest wykonalny lub też w praktyce okaże się niewytrzymującym krytyki.

Pomijam tereny Miedzny, o których nie wiadomo jest jeszcze, co one są warte, a wezmę li tylko pod uwagę polowania Osieckie, na których zwierzostan jest doprowadzony do wcale przyzwoitej normy. Na terenach Osieckich pada rocznie około 700 zajęcy i około 500 kuropatw. Licząc, że przy polowaniach ginie nadto jakie 100 zajęcy i drugie tyle kuropatw w skutek postrzelenia, co nie jest bynajmniej rachunkiem wygórowanym, mamy do rozporządzenia rocznie 800 zajęcy i 600 kuropatw. Sprzedając zające po 4 rb. sztuka w sztukę (samce i samice), a kuropatwy—po 2 rb. para, co nie jest ceną wygórowaną, bo sprowadzone z zagranicy zające, kosztują nas po 7 rb. sztuka, a kuropatwy—po 5 rb. para, to otrzymalibyśmy 3,200 rb. za zające i 1,800 rb. za kuropatwy — razem 5,000 rb. Utrzymanie Osiecka kosztuje 6,000 rb., a nie 6.500, jak mówi w swym liście p. Paszkowski, gdyż 500 rb. wyznaczono li-tylko na urządzenie naganek; zatem Towarzystwo dokładałoby rocznie 1,000, a nie 8,000 rb., spełniając z jednej strony czyn ogólnego znaczenia i dając nadto swym członkom możność polowania na tokach cietrzewi, oraz na ptactwo błotne i wodne. W stosunku więc do dzisiejszego porządku rzeczy, Towarzystwo nasze oszczędziłoby pokaźną sumę 3,500 rb., które śmiało mogłyby być obrócone na rzeczywiste jego cele, do których bynajmniej nie mogę zaliczać dostarczania bezpłatnych polowań pewnej, bardzo niewielkiej liczbie członków.

Powyższy rachunek obala sam przez się twierdzenie mego Szanownego Kolegi o potrzebie intensywniejszej gospodarki łowieckiej, o niezbędnem sprowadzaniu kosztownych oficyalistów lub o opozycyi właścicieli wydzierżawionych terenów; bo gdyby nawet takie inowacye wprawadzone zostały dla podniesienia zwierzostanów, toć przecież w stosunku do podniesienia kosztów wzmogłyby się i dochody wskutek usilniejszej hodowli. Co zaś do samych właścicieli terenów dzierżawionych, to im chyba wszystko jedno, czy ich zającom we łby się postrzela, czy się je wyłapie sieciami...

Myli się też, mojem zdaniem, pan Paszkowski, twierdząc, że „zwierzyna rozpłodowa normalnie potrzebną jest wtedy, gdy tereny zaniedbane i zubożałe należy szybciej do stanu poprawnego doprowadzić", gdyż przeciwnie, sprowadza się zwykle zające lub kuropatwy do tych terenów, na których wskutek zbytniego rozmnożenia się tej zwierzyny następuje zwyrodnienie (degeneracya) i bezpośredni zatem upadek płodności. Dziś, przy wysokiej cenie, sprowadzanej z zagranicy zwierzyny, na taki zbytek mogą rzeczywiście pozwolić sobie tylko możni tego świata, „których stać na dogodzenie swoim gustom". Lecz gdy hodowla krajowa obniży tę cenę prawie do połowy i uprzystępni sprowadzanie nawet mniejszych partyj zwierzyny, wówczas o odnowieniu krwi w swoich zwierzostanach będą mogli myśleć nietylko ludzie bardzo bogaci, ale właśnie i ci właściciele średniej posiadłości ziemskiej, lub średnio zamożni dzierżawcy polowań, którym leży na sercu podniesienie swych zwierzostanów.

Nadmienić też muszę, że zwierzyna, sprowadzana z zagranicy, obok wysokiej ceny, odznacza się też po większej części wszelkiemi cechami zwyrodnienia a często gęsto jest rozsadnikiem rozmaitych chorób zaraźliwych, nieuniknionych na terenach, zbytnio zasiedlonych przez dany rodzaj dziczyzny. Przytoczony przez p. Paszkowskiego przykład sprowadzenia przez nasze Towarzystwo kuropatw od Gudery z Wiednia, jest tego oczywistym dowodem. Ptaki przyszły zmordowane długą podróżą i najwidoczniej noszące już w sobie zarazek jakiejś epidemicznej choroby, która je wymiotła prawie co do nogi w ciągu bardzo krótkiego czasu.

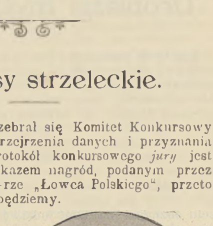
Tak więc Towarzystwo nasze, dając pierwsze inicyatywę hodowli zwierzyny w celach sprzedawania jej żywej, uratuje kilka tysięcy rubli, wywożonych rok rocznie za granicę, uprzystępni nabywanie żywych zajęcy i kuropatw taniej i w mniejszych partyach mniej nawet bogatym właścicielom ziemskim, którym nadto będzie w stanie dać towar zdrowy i silny, dostarczany w krótszym przeciągu czasu, więc mniej narażony na straty w czasie podróży. Są to korzyści, których nie może chyba negować najbardziej nawet zapalony przeciwnik, w mowie będącego wniosku.

Wracając do polowań, trzymanych przez nasze Towarzystwo, to bynajmniej nie jestem wręcz zwolennikiem zupełnego ich pozbywania się, lecz dalsze ich konserwowanie oparte być winno na zupełnie innych zasadach. Najsprawiedliwszą z tych zasad byłoby choć częściowe ponoszenie kosztów utrzymania tych polowań, przez członków, biorących udział w polowaniach. Każdy z tych panów niech dopłaca rocznie do zwykłej składki członkowskiej jakie 30 rubli, a resztę kosztów niech nawet ponosi nasze Towarzystwo, a wówczas, miast zamykania się w szczupłych ramach swej dotychczasowej działalności, będzie ono mogło rozszerzyć swój program ku ogólnemu podniesieniu krajowej gospodarki łowieckiej.

Jan Sztolcman.

Konkursy strzeleckie.

W dniu 1 lipca zebrał się Komitet Konkursowy celem ostatecznego przejrzenia danych i przyznania nagród. Ponieważ protokół konkursowego *jury* jest zupełnie zgodny z wykazem nagród, podanym przez nas w poprzednim n-rze „Łowca Polskiego", przeto powtarzać go tu nie będziemy.



Podajemy natomiast podobiznę tegorocznego zwycięzcy wszystkich konkursów kulowych, ks. Konstantego Radziwiłła z Towjan. Istotnie, można powinszować temu sportsmenowi wysokiego wyrobienia strzeleckiego i szczęścia, jakie mu w konkursach sprzyjało. Ks. Konstanty Radziwiłł, jako wychowaniec politechniki ryskiej, od młodych lat uprawiał sporty różne, ale przeważnie strzelecki. Młodzież w Rydze i Dorpacie zawsze słynęła z zamiłowania do sztuki strzeleckiej i fechmistrzowskiej, co jej tylko za dobre

poczytać należy, dawała bowiem folgę swej tężyźnie w kierunku dodatnim, gdy tymczasem młodzież dzisiejsza wyładowywa swoją energię życiową w sposób, nic wspólnego z prawdziwą dzielnością niemający, stroniąc od strzelby, rapira, konia, gimnastyki i t. p. ćwiczeń, hartujących ciało i ducha. Ryżanie, dzielni za młodu, dzielnie też dla swego społeczeństwa pracują w wieku dojrzałym, czego w Warszawie mamy wiele dowodów. Nic więc dziwnego, że z ich grona wyszedł tegoroczny zwycięzca.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 5 lipca. Przez ciąg miesięcy letnich Rada zasiadać będzie co drugą środę.

P. gubernator radomski zawiadamia, że polecił wydać bilet na broń stróżowi przy miejscu ochronnem, Janowice i Kępa Maśnik.

P. gubernator warszawski zawiadamia o wydaniu takich samych biletów dla stróżów przy miejscach ochronnych Stardzewo, Stara Wieś i Somianka.

Strażnikowi ziemskiemu radzymińskiego powiatu, komendy Jadowskiej, Wysockiemu, za gorliwe tępienie kłusownictwa przyznano nagrodę w sumie 25 rb.

Posiedzenie Wydziału Ochrony i polowań, 1 lipca. Wydział postanowił otworzyć w d. 14 lipca dla pp. Członków Oddziału polowanie na kaczki i wszelkie ptactwo przelotne (z wyjątkiem przepiórek) na dzierżawach Osieckich i Miedzyńskich. Zastrzega jednak, że dom mieszkalny w dobrach Miedzyńskich jeszcze nieurządzony i niezaopatrzony, i udający się tam Członkowie na żadne wygody liczyć nie mogą.

Drobiazgi myśliwskie.

Sokoły do polowania. Dla jednego z magnatów ukraińskich sprowadzono ze Szląska z dóbr hr. Donnersmarka parę pięknych sokołów, umyślnie do polowania ułożonych; ptaki mieściły się w specyalnie urządzonej klatce. W dobrach owych na Szląsku uprawia się sokolnictwo według wszelkich prawideł tego rodzaju myślistwa, ostatniemi czasy najzupełniej już zaniedbanego. Sokoły wspomniane, zakupiono za sumę dość znaczną, podobno parę tysięcy marek wynoszącą. Klatkę z sokołami woził specyalny sokolnik szląski, który ma zabawić na Ukrainie kilka tygodni w celu obznajmienia tam ludzi, jak się z sokołami należy obchodzić i jak te ptaki wypuszczać przy łowach.

Handel psami. Zmarły niedawno S. D., były strzelec leśny w dobrach ks. Witgensteina w gub. wileńskiej, zajmował tam stanowisko kierownika psiarni myśliwskiej. Wówczas już zaczął handlować psami na własną rękę. Następnie kupiwszy półwłókowy folwarczek pod Białymstokiem, urządził psiarnię na dużą skalę i przez obznajmionych agentów sprzedawał psy nietylko gończe, ale i settery, pudle, pinczerki, bonończyki, buldogi, mopsy i t. d. zarówno w Warszawie, jak i w Petersburgu.

Obrazy myśliwskie. Do salonu Sztuki Stefana Kulikowskiego przy ulicy Marszałkowskiej świeżo przybyły następujące obrazy o treści myśliwskiej. Antoniego Piotrowskiego „Szczęśliwy strzał", Władysława Jasieńskiego „Rogacze" (właściwie jelenie-byki), tegoż „Czajki nad stawem", oraz Witolda Wejcherta: „Tok cietrzewi", „Lis", „Zachód" (z sarną na pierwszym planie), „Kaczki" i „Głuszec".

W ostatnich dniach Aleksander hr. Ilinski-Kaszowski nabył w tymże Salonie Sztuki obrazy W. Wejcherta „Głuszec na toku", „Gra cietrzewi" i „Kaczki". Jeden z tych obrazów wysłany został do Piesków, rezydencyi hr. Puslowskich. Pozatem sprzedano „Dzika osaczonego" W. Wejcherta. Salon Sztuki St. Kulikowskiego stara się stale urozmaicać wystawę obrazami z życia myśliwskiego.

Walka z niedźwiedziami. Około 200 włościan z okolic Belenyes na Węgrzech urządziło obławę na dwa wielkie niedźwiedzie, które ukazały się w lasach okolicznych. W obławie tej wzięli też udział żandarmi. Niedźwiedzie ukazały się po dłuższej nagance na odległość strzału, żandarmi wystrzelili do nich, ale oba tylko poranili. Wówczas rozjuszone zwierzęta rzuciły się na nadchodzącą nagankę, przewróciły dwóch obławników i rozszarpały ich pazurami. Z wielkim trudem uwolniono nieszczęśliwych z pazurów niedźwiedzich i oba niedźwiedzie zabito, przyczem uległ ciężkiemu zranieniu kulą jeden z obławników.

Odkryty przez psa. Jako przyczynek do opisanych przez nas szczegółów o psach policyjnych, przytaczamy świeży fakt następujący: Niedawno zamordowano 11-letnią córkę wdowy Bebenroth we wsi Hagenhof pod Konigslutter w Brunświku. Zawiedziona policya sprowadziła na miejsce zbrodni psa, tresowanego specyalnie do śledzenia zbrodniarzów. Pies, obwąchawszy miejsce zbrodni, podbiegł do stojącej opodal grupy parobków dworskich, rzucił się na woźnicę. Duwego, i schwycił go zębami za ubranie. Duwemu kazano zmienić ubranie, ale i tym razem pies rzucił się na niego. Aresztowany woźnica zapierał się początkowo zbrodni, ale w końcu przyznał się do niej.

Tygrysy w Korei. W obszernej pracy p. t. „Klucz Wschodu" opisuje utalentowany autor, W. Sieroszewski, w jednym z rozdziałów, między innemi znaczenie tygrysów w Korei, gdzie „czasem w lecie drogą przejść nie można, gdy one gdzie się usadowią. Daleko trzeba okrążać górami. Ludzie z wiosek na własne pola boją się chodzić" Ustrzedz się ich — pisze dalej—bardzo trudno nawet doświadczonemu i dobrze uzbrojonemu podróżnikowi, gdyż barwa tygrysia łudząco naśladuje brudno-żółte tło starych trzcin, przeciętych czarnemi smugami cieni. Tygrysy żyją w całej Korei, ale za ich państwo i kolebkę należy uważać leśne puszcze północne. Tam one głownie plenią się i dorastają niebywałej wielkości i siły. Często barłogi drapieżników znaleziono o parę godzin drogi od ludnej wsi lub miasta. J. B. Bishop opowiada o leopardzie, zabitym w murach Seulu, oraz o chłopcu i dziecku, porwanych przez tygrysa w Genzanie. Tygrysy korejskie mają po 5 do 7 stóp długości bez ogona. Zdarzają się osobniki, których skóra mierzy 1 metr 66 ctm. długości bez ogona. Nocami wchodzą do wiosek, porywają bydło, psy, świnie, napadają ludzi śpiących, jeżeli wygasł ogień lub zapomniano go rozpalić w pobliżu. Podróżnik, p. Delotkiewicz spotkał wsi opustoszałe, gdzie połowę ludności wyżarły tygrysy. Krajowcy boją się tygrysów, unikają mówienia o nich i nazywania (po korejsku: „pomi, boran—i). Według koreyczyków, tygrys szczędzi jedynie pijanych, którymi się brzydzi.

Pensyonaty dla ptaków. Berlin posiada specyalny zakład, przeznaczony do przyjmowania na wakacye ptaków, których właściciele wyjeżdżają na letnie mieszkanie. Za skromną opłatą pensyonarze otrzymują pożywienie i w dobrem zdrowiu powracają po wakacyach do swoich pierwotnych opiekunów.

Jubileusz strzelecki. W Szwajcaryi obchodzono w zeszłym miesiącu jubileusz założenia bractwa strzeleckiego w Zurychu. Fakt ten zdarzył się w r. 1504, gdy jednocześnie w owym roku odbył się tam międzynarodowy turniej strzelecki. Wbrew woli rady związkowej, która obawiała się takiego zbiegowiska ludzi zbrojnych, Zurich rozesłał był zaproszenia nietylko

do wszystkich miast Szwajcaryi, lecz i do sąsiadów. Więc miasta południowych Niemiec, Tyrol, Austrya, książęta Wirtembergii i Bawaryi, palatyn reński, kurfirst brandeburski i król rzymski, a nawet Niderlandy, otrzymali wspaniale drukowane inwitacye. Turniej rozpoczął się d. 12-go sierpnia i trwał do d. 18 września. Muszkiety i łuki walczyły z sobą o lepsze. Tłumy gości miasto podejmowało swoim kosztem, rozdając obficie wino, bułki, kołacze, ser i owoce, a najlepszych strzelców darzyło wspaniałemi nagrodami. Od tej pory weszły w zwyczaj narodowe święta strzeleckie. Ćwiczenia z bronią palną są zresztą stałem, niedzielnem zajęciem zuryskich obywateli, oraz częścią ich obowiązków społecznych. Obszerną strzelnicę wzniesiono na ten cel u stóp Uetlibergu na t. z. Albisgütli. Tam też odbywają się uroczystości jubileuszowe. Rozpoczęto je historycznym korowodem przez miasto, a potem co dzień, kto ma po temu czas i ochotę, pukać może na Albisgütli z różnych rodzajów starej broni, począwszy od procy, a skończywszy na muszkietach bez kurków, które wyładowuje się za pomocą lontów, a czynią tyle huku i ognia, że potrzeba znacznej siły nerwów, aby nie uciec z miejsca.

Ilość psów we Francyi dochodzi poważnej cyfry 2.940,954 sztuk, pomiędzy któremi 800,000 psów zbytkownych. Dochód z podatku od psów wyniósł w r. z. 8,800,000 fr., czyli po 3 fr. średnio od psa. W ogólnej sumie wypada 7 psów na 100 mieszkańców, lecz stosunek ten zmienia się względnie do departamentów. I tak w departamentach: Haute Loire, Puy-de-Dôme, Creuse i Indre-et-Loire wypada 16 psów na 100 mieszkańców, gdy w departamentach północnych stosunek spada do 3 na 100. Należy też wziąć jeszcze w rachubę psy, które niepodane były do spisu.

Pies w roli dziecka. W porcie Calais przed niedawnym czasem jakaś kobieta, ubrana za mamkę, wsiadła na statek, udający się do Douvres. Trzymała ona na ręku dzieciątko, grubo owinięte w powijaki i poduszki; twarzyczkę okrywały gęste koronki. W chwili, gdy kobieta zajmowała swą kajutę, dziecko zaczęło się kręcić i ku wielkiemu zdziwieniu jednego z dozorców z pod koronek ukazały się dwie psie łapki. Okazało się, że dama — właścicielka pieska — pragnąc uniknąć długich i trudnych formalności przy wwozie psów do Anglii, przebrała się za mamkę, a psa za dziecko. Nic jednak nie pomógł ten fortel i biedna dama musiała zostawić swego ulubieńca w Calais.

Operowanie lamparta. W menażeryi Bostocka w Paryżu dokonano niedawno operacyi na lamparcicy, zwanej „Cora", która kulała od kilku tygodni wskutek gruczołu ropnego na prawej łopatce. Wspaniałe zwierzę obroniło przed kilku tygodniami pogromcę, Morellego, napadniętego przez jaguara, lecz poniosło przytem ranę, która zaczęła ropieć, tak bardzo, że postanowiono ją operować. Nie było to zadanie łatwe. Narkotyzować „Cory" nie chciano, bo któż może wiedzieć, jaką dozę chloroformu znosi lampart? Położono zatem „pacyentkę" na lewym boku, przeciągnięto łapy przez kraty i silnie je związano, przyczem nie zapomniano o zakneblowaniu. Dr. Dramard wszedł do klatki z pomocnikami i rozpoczęła się niezwykła operacya. Chore miejsce umyto i wygolono. Przy pierwszem cięciu przerażone zwierzę szarpnęło się tak silnie, że postronki popuściły; naciągnięto je silniej i operacya rozpoczęła się nanowo. Teraz „Cora" zachowywała się zupełnie rozsądnie, jak podaje sprawodawca „Figaro", i operacya odbyła się szczęśliwie. Po ukończeniu rozwiązano „Corę", która, jakby nic nie zaszło, podniosła się leniwie i rozpoczęła swój zwykły pochód dookoła klatki.

Trudny wybór. — Czy pan woli polowanie na zające, czy na ptactwo?

Myśliwy dyletant: Naprawdę, nie wiem.

— Przy polowaniu na ptactwo trudniej o wypadek, trudniej postrzelić kogoś z naganki.

— O, co to, to nie! Właśnie ubiegłej niedzieli postrzeliłem jakiegoś *aeronautę*.

* * *

Dokładny adres. Myśliwy na polowaniu, celując do zająca, mówi:

— Teraz zajączku, leć prosto do naszej kuchni.

Po pudle woła kolega za zającem:

— Ulica Bracka, Nr. 40, z bramy na lewo, 1-e piętro. No, teraz zajączek wie przynajmniej, gdzie kolega mieszka.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu L. Sajkiewiczowi w Hyży. Odpowiedź na identyczne pytanie znajdzie Pan w Nr. 12 „Łowca Polskiego" z 1901 r.

Treść Nr. 14 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

WARSZAWSCY CUKIERNICY (10)

Blikle, Zawistowski, Górscy i S-ka

Nowo-otworzona filia
Marszałkowska 123 (róg Siennej)
Wielki wybór **Cukrów Deserowych, Kakao, Czekolady, Pralin** i t. p.

Inż. MARYAN LIPOWSKI

Elektoralna № 28.

Specyalność: Urządzanie gospodarstw rybnych. Irygacya łąk, drenowanie pól, osuszanie nizin, budowa kolejek przenośnych, eksploatacya torfu, budowa szluz ochronnych od napływu wody, oraz sporządzanie wszelkich kosztorysów technicznych. Po cenach przystępnych. (29)

NAKŁADEM REDAKCYI

„Łowca Polskiego"

wyszły następujące dzieła myśliwskie:

Jul. Biesiekierski „Kuropatwa szara czyli pospolita" t. I z ilustracyami 80 k.
Wiktor Stephan „Sarna" t. I z rysunkami 50 „
Ernest hr. Sylva-Tarouca „Hodowca a myśliwy" t. I 1.20 „
Dr. Max Neumeister „Żywienie jeleni i sarn" t. I 60 „
Jan hr. Ostroróg „Myślistwo z ogary" t. I 75 „
Goedde „Hodowla bażantów" t. I 1.— „
Rudolf Weber „Żelaza i pułapki myśliwskie" t. I 75 „

Dzieła te są do nabycia w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Warecka 15) i we wszystkich księgarniach. Skład główny w księgarni

K. TREPTEGO

(Marszałkowska 149, w Warszawie).



SPRATTA

Pasza dla bażantów
i Suchary dla psów

są najlepszem, najtańszem i najbardziej rozpowszechnionym pokarmem dla psów i ptactwa. Najtaniej nabyć można u: **Stol i Schmidt, St. Petersburg; Sukcesorów J. Schenbruner i Fetter i Hinkel, Moskwa, Roberta Ziegler, Warszawa; Michała Rosenbluma, Łódź; John G. Vigent, Ryga; w Petersburskiem Towarzystwie Rolników, Aleksieja Butlera, Libawa; Wilhelma Komonena, Helsingfors; G. W. Zawald, Franca Achilesa; B. J. Winnera Tow. Ako., Kijów; A. Edelberga, Lampe i S-ka, Rostów; Andrzeja Kinblera, Sewastopol; A. Gentcz, Lampe i S-ka, Odessa; B. Wegelina i S-ka, Abo.**

NOWOŚĆ
dla Warszawy
49 Krucza 49
przy rogu Alej Jerozolimskich.

Włoska Specjalna Ciastkarnia

44

Poleca swoje wyroby:
Panettone di Milano;
Sucharki; Petifury
Brioches fines.
G. G. LARDELLI.

APTEKA

Dostawcy Dworu J. C. Mości
WŁ. BORZĘCKIEGO

w d. 12 Maja r. b. przeszła na własność

Leona Modlińskiego

59 Krakowskie Przedmieście 59.

Po gruntownem zaopatrzeniu **we wszelkie najnowsze środki i utensylia, w lecznictwie** używane, **prowadzona** będzie pod osobistym **zarządem WŁAŚCICIELA.** (28)

Egzystujący od lat kilkunastu

ZAKŁAD ARTYSTYCZNO-REPERACYJNY

wszelkiej galanteryi i wyrobów tokarsko-bronzowniczych

Zygmunta Ziembińskiego

Senatorska № 19 w Warszawie.

Przyjmuje do reperacji wszelkiego **rodzaju antyki,** lalki, wyroby z porcelany, majoliki, terrakoty, marmuru, alabastru, szkła, **kości słoniowej, perłowej masy, szyldkretu, drzewa i mebli inkrustowanych** oraz przerabia i **reperuje wachlarze** sumiennie i dokładnie.

Brakujące części zakład dorabia nie **pozostawiając śladów** reperacji.

Niezależnie od tego wyrabia różne przedmioty tokarsko-bronzownicze i przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje takowych.

Przyjmuje do złocenia, srebrzenia i niklowania najbardziej zużyte przedmioty. 43

ZAKŁAD MEBLOWY

LUDWIKA ORTHWEINA

Egzystujący od 1870 roku

przeniesiony został z Senatorskiej 12 **na MAZOWIECKĄ 2.** (33)

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od skromnych do najwykwintniejszych.

MEBLE

we wszystkich stylach

poleca

ADOLF OKOŃ i S-ka

Mazowiecka 5, I piętro.

Kupujący w moim magazynie, zechcą się powołać na niniejsze ogłoszenie.

Tarcza do próbowania broni śrótowej, opracowana przez Wł. Słonczyńskiego na podstawach, przyjętych przez Niemiecki Instytut do próbowania ręcznej broni palnej w Halensee, wydana została nakładem Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa, i można ją nabywać u Intendenta Towarzystwa w cenie rub. 1 za 25 sztuk.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Іюля 1904 г.
Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.
Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.